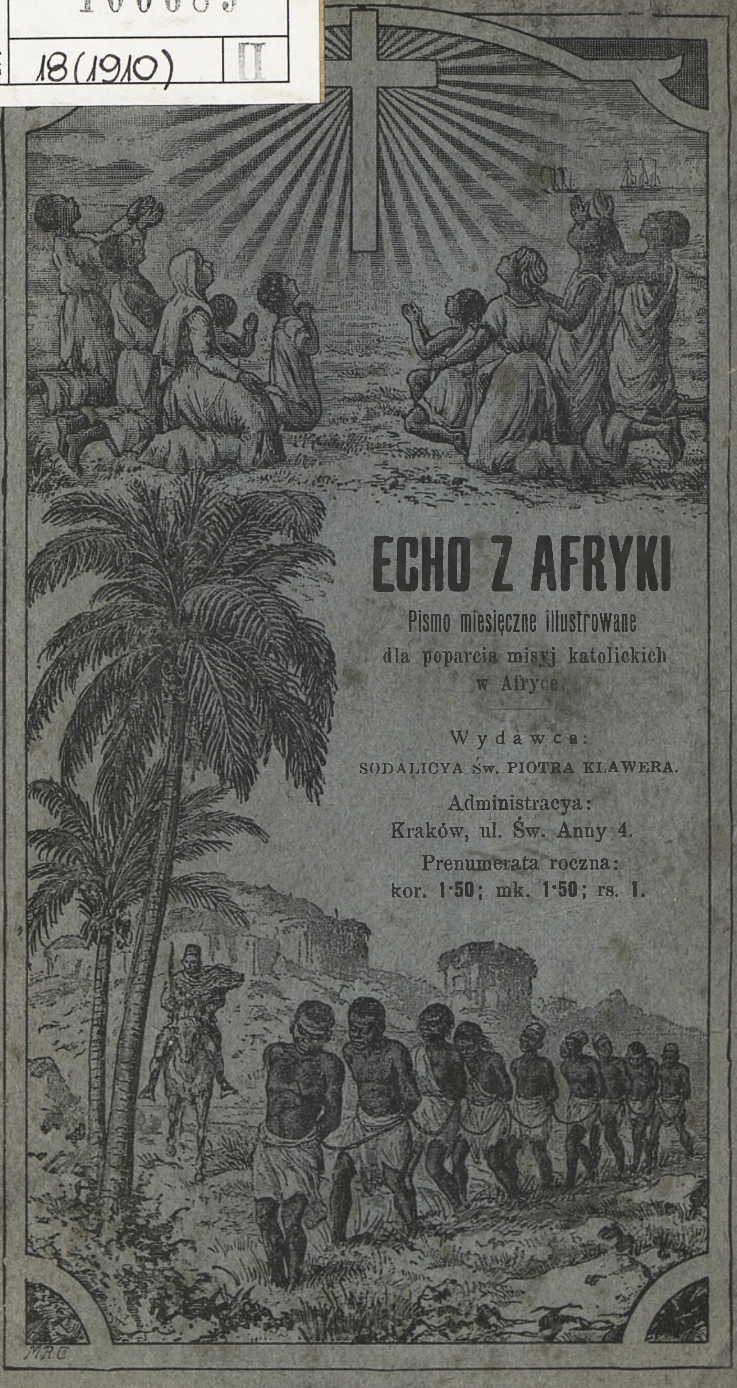
Styczeń 1910.



ECHO Z AFRYKI

Pismo miesięczne illustrowane dla poparcia misyj katolickich w Afryce.

Wydawca:
SODALICYA Św. PIOTRA KLAWERA.

Administracya:
Kraków, ul. Św. Anny 4.
Prenumerata roczna:
kor. 1·50; mk. 1·50; rs. 1.

Rok XVIII. — Nr 1. Styczeń 1910.



Święty Piotrze Klawerze,
Apostole murzynów,
módl się za nami!

Echo z Afryki

katolicki miesięcznik misyjny illustrowany,

BŁOGOSŁAWIONY
przez Ich Świątobliwości
LEONA XIII i PIUSA X.

PRENUMERATA ROCZNA:
kor. 1·50, mk. 1·50, rb. 1.

Raz na miesiąc odprawia się za żyjących i zmarłych dobroczyńców misyj afrykańskich Msza św. cicha.

Życzenia dobrego i świętego roku.

Oddanym Zelatorom i Drogim Zelatorkom Sodalicyi św. Piotra Klawera, gorliwym Czytelnikom naszego pisemka i Przyjaciołom misyj afrykańskich, którzy usiłują wraz z nami pozyskać dusze Chrystusowi Panu w odległej Afryce, posyłam najlepsze życzenia dobrego i świętego roku, łącząc je z modlitwą o najobfitsze błogosławieństwo niebios dla nich i dla ich rodzin.

W grudniu 1909.

Marya T. Ledóchowska.

„Czarne kamienie.“

List Siostry Janiny Berchmans z Ambatolampy na Madagaskarze, do Generalnej Kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera.

(Dokończenie).

Nadszedł wreszcie dzień przeznaczony na rozpoczęcie rekollekcyi, lecz na Madagaskarze więcej może niż gdziekolwiek, nie mija dzień, w którymby nie można zastosować przysłowia: „człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.“ Dobry nasz Ojciec obiecał był wprawdzie rekollekcye, lecz nie wziął w rachubę febry, która nawiedza go nader często. Tak też i dnia tego, we środę 9 września, w uroczystość św. Piotra Klawera, silny atak febry przeszkodził jego przybyciu do Ambatomainty. Posługując się naszym poczciwym mułem, udałam się tam już wczesnym rankiem, by przygotować nieco ludzi i ozdobić, o ile się da, mały kościółek, w którym Pan nasz zamieszkać miał aż do niedzieli. Skoro jednak dorozumiałam się, iż Ojciec już nie przybędzie, nie mogłam się zdobyć na odprawienie wszystkich tych już zgromadzonych zacnych chrześcijan, tak dobrze usposobionych i tak bardzo spragnionych ćwiczeń rekollekcyjnych. Odniosłam się tedy do Jana Rakoto, doskonałego katechisty, który wraz ze mną przybył z Ambatolampy, a że odprawiał już nieraz sam rekollekcye i pomagał w nich Ojcom, wydał mi się w tej chwili istnem narzędziem Opatrzności. — „Wspólnemi siłami — rzekłam mu — dźwigać będziemy ciężar rekollekcyi aż do przybycia Ojca.“ Przygotowaliśmy tedy razem na prędce treść pierwszej nauki, następnie drugiej i trzeciej i przy Bożej pomocy Jan tak potrafił zająć zgromadzonych, iż wielcy i mali słuchali go z zapartym oddechem, a gdy po skończonej nauce chciałam się przekonać, czy wygłoszone prawdy dotarły do umysłów i serc i zaczęłam pytać o nie, to szczery podziw i radość wzbudzały we mnie ich jasne odpowiedzi, jako dowód, iż nie tylko słuchali, ale i zrozumieli. Jest to rzecz rzadka, gdyż zazwyczaj Malgasz słucha i nie słyszy! Program nasz zawierał pięć nauk dziennie. Przerwy wypełniane były czytaniem pobożnem, objaśnianiem katechizmu, odprawianiem drogi krzyżowej i t. p. Wszystkie te pobożne ćwiczenia odbywały się w najwzorowszym porządku i w zupełnem milczeniu. To też gdy wieczorem dnia drugiego przybył nasz Ojciec, wielkie było jego zdziwienie, gdy kochane dzieci zamiast przyjąć go ze zwykłym hałasem, nie śmiąc tym razem otworzyć ust, ograniczyły się jedynie do głębokich pokłonów, czem wielce zacnego Ojca zbudowały i wzruszyły. Nazajutrz, w piątek, odprawił Ojciec Mszę św., pozostawiając Najświętszy Sakrament w tabernakulum, które przygotowaliśmy w tym celu.

Napróżno kusiłabym się opisać Pani szczęście tak moje, jak i tych zacnych chrześcijan. Ojciec wzruszony na równi z nami wysilił wszystkie zasoby swego umysłu i serca, by wypowiedzieć prześliczną naukę o skutkach obecności Chrystusa Pana ukrytego w przybytku ołtarza; lecz niestety, nie zdołał skończyć, gdyż czyhała nań już zdradziecka febra, która go obezwładniła na resztę dnia. A zatem znowu Jan Rakoto i ja zajęliśmy się dalszym ciągiem rekollekcyi. Poczciwi nasi Malgasi ulokowali Ojca w najokazalszej chacie z całej wsi, a i mnie, ponieważ pozostałam, ofiarowali drugą. Całe jej umeblowanie ograniczało się na dużej macie, którą rozpostarto na ziemi. Wieczorem aż do godziny 11, przy pomocy postulantek, które przybyły wraz ze mną, katechizowałyśmy niestrudzonych katechumenów. Potem rozeszli się wszyscy zadowoleni, lecz nie poskąpili nam pozostałości w postaci nieprzebranego zastępu małych lokatorów, którzy ani na chwilę nie pozwolili nam zmrużyć oka, pomimo wojny zaciętej, którą im wytaczałyśmy. Dopełniały tej sielanki szczury, tańczące dokoła naszych głów. Lecz w tego rodzaju okolicznościach przybywa w pomoc „łaska powołania“, to też zrana wstawałyśmy tak ochocze do pracy, jak gdybyśmy noc całą w najwygodniejszych spędziły łóżkach. W sobotę rano zdrowie Ojca misyonarza poprawiło się o tyle, iż był w stanie odprawić Mszę św. i mógł nawet spowiadać, dzięki zdwojonym dawkom chininy. Nazajutrz, w niedzielę, wszystkie Siostry z Ambatolampy wraz ze swą szkółką i sierotami i wielu chrześcijanami przybyły do nas, aby być na Mszy św. i przyjąć Komunię św. w Ambatomainty. Przeszło 800 osób brało udział w uroczystości, a z tych zaledwie 200 mogło pomieścić się w małej kapliczce. W. Ojciec poświęcił kościółek, oddając go pod opiekę św. Piotra Klawera. Odbyło się również dnia tego 36 chrztów i 7 pierwszych Komunii św. Ogółem w rekollekcyach wzięło udział 70 członków — w kraju, w którym przed trzema laty nie było ani jednego katolika. Wszyscy oni odnowili w obliczu nieba, przed małym polowym ołtarzykiem postawionym w tym celu, obietnice uczynione na Chrzcie św. Dzieci ozdobiły się robionymi kwiatami, starsze niosły chorągwie. Wszyscy mieli łzy w oczach, gdy wieczorem nadeszła chwila rozstania i nie mija dzień od tego pamiętnego święta, w którymby ktoś z nich nie zaglądnął do nas, oświadczając, iż aż nadto cicho i smutno w ich wiosce po naszem odejściu i tylko w naszym kościółku weselej, gdyż zgromadzają się co wieczór, aby odmówić wspólnie różaniec, wieczorne modlitwy i śpiewać pieśni. Błagają, abyśmy ich odwiedzały często, jak najczęściej i przewodniczyły w ich zebraniach. Biedne dzieci! nie wiedzą, iż dzień w dzień chrześcijanie z innych okręgów przychodzą również z tą samą prośbą! Jakże tu zadowolnić wszystkich? W Ambatolampie jest nas tylko cztery

Siostry, a mamy tu kilkuklasową szkółkę, warsztat i katechizujemy okoliczną ludność. Prócz tego każda z nas opłaca mniejszy lub większy haracz wszechwładnej pani febrze! Trzebaby nas tutaj przynajmniej 10—12, by wydołać wszystkiemu, co możnaby zdziałać dobrego w tym rozległym obwodzie. Betafo, Antsirabe, Arivonimamo, skarżą się również na brak sił roboczych, gdyż wszędzie zapotrzebowanie rośnie, a zdrowie — przeciwnie podupada. Z Francyi, w tych czasach prześladowania, nie może nam przyjść pomoc znaczniejsza, a jednakże dobry nasz Pan, jak gdyby chcąc przekonać nas o tem, iż jesteśmy dziećmi Opatrzności, nie pozbawia nas nadziei na przyszłość. To też zapewne z radością dowie się Pani, iż niektóre dziewczynki, które przez lat kilka wychowywały się u nas, myślą z natchnienia tejże Boskiej Opatrzności o poświęceniu się na służbę Dobremu Panu, a zarazem dziełu nawracania i ewangelizacyi współziomków. Sześć z nich od sześciu miesięcy przebywa z nami stale w Ambatolampie, spędzając dni na nauce i wkładaniu się w życie zakonne i apostolskie. Jest to dopiero próbny nowicyat, aprobowany przez Ojca św. i obdarzony błogosławieństwem naszego X. Biskupa. Celem naszym byłoby kształcenie pomocnic, które przydzielane do poszczególnych placówek, wedle zapotrzebowania, stałyby się wyręką i podporą Sióstr. Widzimy z doświadczenia nabytego przez wspólne z nimi przejażdżki do okolicznych gmin chrześcijańskich, iż owe przyszłe zakonnice tubylcze wiele będą mogły dokonać dobrego, będąc lepiej od nas obeznane ze zwyczajami i obyczajami krajowymi, jak również z wadami i zaletami swoich współziomków. To też zły duch widząc szczęśliwie zapowiadające się rezultaty, nie przestaje nasuwać nam różnorodnych przeszkód. Dlatego dzieło to w szczególności ośmielamy się polecać gorącym modlitwom tak Pani, jak i drogich Jej współpracowników. Polecam je również szczodremu ich miłosierdziu, bo na to, by nakarmić, odziać i utrzymać młode owe dziewczęta podczas ich nowicyatu, trzebaby nam jakiegoś skromnego funduszu. Coraz to nowe aspirantki zgłaszają się do nas, ubiegając się o łaskę przysporzenia liczby już istniejących, lecz nie możemy ich przyjąć ze względu na nasze niezmierne ubóstwo.

Z EWANGELII Św. MATEUSZA.

Wszelki, któryby opuścił dom, albo bracią, albo siostry, albo ojca, albo matkę, albo żonę, albo syny, albo rolę dla imienia mego, tyle stokroć weźmie i żywot wieczny odzierży.

(XIX, 29).

KORESPONDENCYA MISYJNA.

WIKARYAT APOSTOLSKI BAGAMOYO.

List X. Biskupa Vogta, Wikaryusza apost.

Mhonda.

Czcigodna Dobrodziejko nasza!

Z Mhondy, tej perły naszych misyj, kreślę do Pani słów kilka, aby wyrazić najżywszą wdzięczność za wielką dobroć, jakiej doznajemy. Przybyłem tutaj po siedmiodniowym, nader uciążliwym pochodzie. Gorąco trwa ustawicznie, to też niepodobna prawie odbywać dłuższych pochodów w ciągu dnia. Samemu idąc, jest się już nad wyraz utrudzonym, tem bardziej więc męczą się tragarze dłuższym pochodem po palącym piasku. Wstawaliśmy regularnie już o drugiej po północy, aby wyzyskać świeżość poranku.

Pojutrze wyruszam na nowo w drogę z OO. Munschem i Walterem, aby wyznaczyć wspólnie siedzibę dla nowej misyi, którą zakłada O. Walter. Czcig. Pani udarowała już O. Waltera sprzętami i bielizną kościelną potrzebną do nowej kaplicy, stając się tem samem pierwszą dobrodziejką nowej misyi. Przypuszczamy, iż o trzy dni drogi stąd będziemy mogli ustalić misyę, która będzie pośredniczyła pomiędzy misyą Mhonda a Kondoa-Irangi.

Po raz pierwszy miałem sposobność zwiedzenia tutejszych szkół misyjnych. Pierwszą w tym rzędzie była szkoła katechisty Jana, który jest jednym z najzdolniejszych naszych nauczycieli, co więcej jest on poetą w swoich poglądach na świat i życie. Szkoła jego poświęcona jest św. Pawłowi. Gdy Jan po raz pierwszy ujrzał statuę tego Świętego, która przybyła przed kilku miesiącami do Mhondy, stanął, wpatrując się w nią, poczem podzielił się doznanemi wrażeniami z Ojcem: „Ach, wierny to zaiste obraz mistrza i doktora, co za czoło, a w ręku trzyma księgę!“ Przewidywano moje przybycie, to też całą szkołę, jak i dojście do niej udekorowano. Jan obmyślił nawet rodzaj bramy tryumfalnej z dwóch młodych giętkich szczepów bananowych, których listowie schodziło się u góry, gdzie zawiesił arkusz papieru z własnoręcznym starannym napisem: „*Insifu Yesu Kristu!*“ (Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!)

Jest to dobry nauczyciel. Każdy jego uczeń (jest ich 40 do 50) otrzymał podarek wynoszący około czterech centimów. Po egzaminie zaprowadził mnie Jan przed chatę i ukazał nader starannie utrzymaną mogiłkę, mówiąc: „Tutaj oto spoczywa synek mój, Michałek!“ Rzadko kiedy spotyka się czarnych,

opłakujących tak długo i z takim żalem śmierć dziecięcia. Dzisiaj rano zjawia się nasz Jan w misyi. Moje odwiedziny grobu Michałka obudziły w nim na nowo żal; powiada tedy Ojcu, wręczając mu rupię: (1 fr. 60 ct.)

— Mój Ojcze, odpraw Mszę świętą za Michałka.

— Ależ Janie — mówi Ojciec — twój Michałek jest oddawna w niebie aniołkiem. (Miał zaledwie 2 lata gdy umarł).

— Ach, nie jestem tego pewny! — odpowiada Jan — taki był rozumny, wołał mnie już tak dobrze po imieniu, odpraw Ojcze Mszę święta za niego.

— Posłuchaj Janie, Michałek jest bez wątpienia aniołkiem, a ja Mszę święta, którą ofiarujesz, odprawię na cześć wszystkich aniołów.

Jan uderza się w czoło i powiada:

— Jakże słusznie powiedziałeś, mój Ojcze, tak jest, odpraw Mszę świętą na cześć wszystkich aniołów, a one wyproszą mi u Boga nowego Michałka.

Następnie odwiedziłem szkołę Konstantego, położona o trzy mile dalej w górach. Konstanty uczy dzieci bardzo dobrze, a litość, jaką się odznacza, zawstydziéby mogła niejednego Europejczyka.

Chociaż o odwiedzinach dowiedział się zaledwie na kilka godzin przed mojem przybyciem, zdołał jednak przystroić drogę zielenią i kwiatami na przeszło dwustometrowej przestrzeni, a przed szkołą czekały dzieci, chłopcy na prawo, dziewczynki na lewo, z dużymi bukietami, witając równo wypowiedzianem pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“

Konstanty poprowadził mnie następnie wraz z O. Munschem do swej chaty, gdzie żona jego przyrządziła smaczną wieczerzę, złożoną z kukurydzianki na wodzie i pieczonej kury. Podano nam również świeżą wodę w jednej szklance, jaką Konstanty posiada, otrzymawszy ją niegdyś w podarunku od misyi.

Pokrzepiwszy siły rozpoczęliśmy katechizacyę, która mnie szczerze rozradowała. Na odchodnem odprowadził nas Konstanty wraz ze znaczną liczbą dzieci spory kawałek drogi.

Dzień ten przyniósł mi w istocie wiele pociech, jak niemniej i następny. Pobłogosławiłem bowiem pięć związków małżeńskich i widziałem z jak głębokiem wzruszeniem przystępowali do Stołu Pańskiego nie tylko nowożeńcy, ale również wielu ich krewnych i przyjaciół. Co więcej, przeszło 200 chrześcijan było na Mszy św., manifestując przy wyjściu z kościoła radość swą okrzykami i tańcami.

Dwa te dni dowiodły, że chociaż życie misyonarza obfituje w trudy, to ma także i dni radości. Opuszczam jednak Mhondę z żywem uczuciem żalu serdecznego, albowiem nie mogłem zezwolić na budowę nowego kościoła. Stary kościółek jest już o wiele za szczupłym, zeszłej niedzieli np. przeszło 250 chrze-

ścijan nie znalazło w nim miejsca, a w dni świąteczne przeszło 500 osób pozostaje na dworze. Bo też Mhonda liczy obecnie 3.000 chrześcijan. Ach, gdyby Czcigodna Pani znalazła jakiego szczerego czciciela Najświętszego Serca Jezusowego, któryby nam dopomógł do wzniesienia kościoła! Ufam, iż Serce Jezusa, które



Marcinek z długimi włosami.

pobłogosławiło budowie kościoła duchowego w Mhondzie, umożliwi nam również wzniesienie kościoła materyalnego.

Dołączam do listu niniejszego fotografię małego Marcinka z długim włosem, co jest rzadkością pomiędzy czarnemi dziećmi. Matka jego, cierpiąc bardzo przy jego przyjściu na świat, przywołała na pomoc czarownika, który nie zdołał wprawdzie przynieść jej ulgi, lecz niemniej zażądał kozy jako honoraryum.

Biedna kobieta nie była jednak w możności dać mu jej, a że jest jeszcze poganką i wierzy we wszystkie starodawne tradycye „Nguru“, według których dziecko umarłoby natychmiast, gdyby mu obcięto włosy, zanim owa żądana koza nie zostanie wypłaconą, więc Marcinek ma dlatego czteroletnie włosy!

Upływa trzy tygodnie, jak Siostry otwarły szkołę dla dziewcząt, a liczy ona już 70 dziewczynek. Jest to niebywałe i nadspodziewane szczęście.

Kończę już ten długi list, polecając nadal łaskawej pamięci i sercu Czcigodnej Pani biedne nasze misye! Co do nas, tak my, jak i chrześcijanie, nie przestajemy modlić się gorąco za Panią i wszystkich dobroczyńców, którzy umożliwiają Jej niesienie nam pomocy.

DUSZE GINĄ DLA BRAKU PIENIĘDZY.

(Wołanie o ratunek z kraju Basutów).

Oto co pisze O. Valat, Oblat Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny Maryi z misyi św. Józefa z kraju Basutów:

Jest nas dwóch Ojców, mianowicie O. Biard i ja, przydzielonych do misyi w Korokoro, obowiązanych do spełnienia służby duszpasterskiej w trzech kościołach i prowadzenia dwóch dużych i licznych szkół, jednej przy misyi w Korokoro ze współudziałem dwóch Sióstr nauczycielek ze Zgrom. Najśw. Rodziny, drugiej zaś w Massabielle, pierwszej dużej osady misyi Korokoro, w której pracują dwie drugie Siostry. Misya Korokoro jest bez zaprzeczenia najbardziej obarczoną misyą w całym kraju, z powodu dwóch odległych filii misyjnych i dwóch szkół, którym utrzymanie i rozwój zapewniać powinna.

Aż do tej pory świetny był stan obydwóch szkół z powodu licznych pensyonarek, po większej części poganek, które przybywały czasami z bardzo daleka, aby się uczyć i otrzymać Chrzest św. I sami przygarnialiśmy również dzieci z rodzin pogańskich, obowiązując się żywić je i odziewać w naszej misyi. Lecz obecnie pozbawieni jesteśmy zupełnie dochodów z powodu klęski głodowej, która szerzy się gwałtownie pośród Basutów. Ponieważ nie mamy pieniędzy, więc nie możemy kupić kukurydzy na pożywienie dla naszych dzieci i byliśmy zmuszeni rozpuścić szkołę, aby wróciły do domów. Te biedne dzieci opuszczały nas z płaczem i błaganiem, by nie wydalać ich z misyi bez ostatecznej konieczności, której to prośby nie mogliśmy jednak uwzględnić dla zupełnego właśnie braku środków pieniężnych. Obecnie dziewczątka te narażone na tysiączne niebezpieczeństwa, wałęsają się po kraju, co stanie się przyczyną zguby wielu. Niestety, na dwóch spełniły się już smutne te przewidywania.

Wyznam z całą szczerością Czcigodnej Pani, iż w misyi Massabielle brakuje nam ustawicznie najniezbędniejszego pożywienia. Zmuszeni jesteśmy wypraszać sobie dzień w dzień chudy nasz obiad złożony z groszku lub ziemniaków u Kafrów, wobec czego Siostry zapytują mnie: „Mój Ojcze, cóż poczniemy, jeśli tak dalej trwać będzie?“ Na co ja odpowiadam im stale: „Nie bójcie się, Bóg temu zaradzi.“ W istocie jednak klęska głodu zaczyna przybierać zastraszające rozmiary, a nasz mały ogródek skąpi nam bodaj jednego ziemniaka. Nie możemy się także oglądać na jakiekolwiek wsparcie pieniężne od Basutów, którzy sami tak dalece cierpią nędzę, iż żyją po największej części jedynie roślinami, które zbierają po polach. Ale niechaj dzieje się wola Boża zawsze i wszędzie.

Czcigodna Pani! błagam Cię więc usilnie, wejrzyj na nędzę naszą, na te dusze, które giną dla braku pomocy materyalnej! Kiedy błagam Pana Boga codziennie przy św. ołtarzu, aby zesłać nam raczył wspaniałomyślnego dobroczyńcę... jakiś głos wewnętrzny powiada mi, iż będzie nim Sodalicya św. Piotra Klawera i jej hojne zelatorki.

KRAJ MAYOMBA. (KONGO BELG.).

O. Bittermieux ze Zgromadzenia Ojców z Scheut, pisze do nas z głębi Konga belgijskiego:

Jedną z najbogatszych prowincyi, jakiemi Belgia rozszerzyła swoje dziedzictwo, przyłączając dzisiejsze Kongo, jest bez zaprzeczenia część Konga Dolnego, zwana krajem Mayombe. Komuż jest dziś jeszcze obcym ten kraj Mayomba ze swymi wspaniałymi lasami dziewiczymi, klimatem dobroczynnym i bujnemi plantacyami? W Mayombie, która wielkością równa się połowie Belgii, pełni służbę duszpasterską sześciu księży misyonarzy, osiedlonych — o ile nie podróżują — w dwóch misyach, a więc w misyi Kangu lub Moll St. Maria i w misyi Kizu.

Mayomba podzielona jest na okręgi, a ludność na małe szczepy, zamieszkujące cztery, dziesięć lub dwadzieścia, czasem nawet 30 — 40 wsi. Rząd na ogół nie zmieniał tego podziału. Zdarzało się jednak niejednokrotnie, iż chcąc zapewnić sobie silniejszą władzę nad krajem, oddawał oznaki władzy wodzów tubylczych, wodzom podwładnym i rozdzielał większe, jednolite obszary na mniejsze terytorya, podległe władzy poszczególnych wodzów.

Mieszkańcy Mayomby nie stanowią szczepu odrębnego i jednolitego, jak inne ludy pierwotne Afryki środkowej. W narzeczu krajowców mianem „Mayomby“ oznacza się: 1) mieszkańców wnętrza, na poły dzikich, lud Basendjów; 2) miejscowość jakąkolwiek w okolicach naszej misyi Kizu.

Zapytajcie „Bayombów“ lub „Bamjumbów“, którzy nie weszli jeszcze w stosunki z białymi, jak nazywają samych siebie, a wymienią wam po największej części nazwę swej miejscowości rodzinnej, a więc: „Musi Kangu“, „Musi Wungu, inni znowu nazwą się „Bukongo“, a co do Mayombów, to ci, według ich mniemania, mieszkają zawsze jeszcze dalej, w samem wnętrzu kraju.

Co się zaś tyczy ich pokrewieństwa z innymi szczepami, to znają oni bratnie sobie plemiona, lecz o tradycyi wspólnego z nimi pochodzenia nie zachowali ani wspomnienia, ani legendy. Względny spokój, jakiego zażywają od szeregu wieków, bo prawdopodobnie od czasu masowych wędrówek, oraz zbratanie się z innemi plemionami, o czem świadczy lingwistyka i etymologia, tłomaczą poniekąd ten brak tradycyi historycznej.

Typ Mayombów jest bardzo niejednolity. Rzadko kiedy napotyka się między nimi mężczyzn rosłych, krzepkich, jakich dużo między Bangalami i innymi plemionami Górnego Konga. Mayombi są wzrostu średniego lub nizkiego, budowy nikłej, czasami nawet rachitycznej, możnaby ich nazwać: „mieszczuchami Konga“. Rysunek nosa, wypukłość kości policzkowych, grubość warg, wysokość czoła, tak są rozmaite, iż trudno byłoby wypośrodkować jeden jakiś typ przeciętny. Częstokroć jedynie barwą skóry różnią się od Europejczyków. Naturalna barwa skóry jest ciemno-bronzowa lub z odcieniem miedzianym albo czerwonym. Zbyt ciemne zabarwienie skóry uważane jest za niezadne, bardzo cenionym natomiast bywa czerwonawy odcień. W pewnych okolicznościach Mayombi napuszczają swe ciała substancyą czerwoną, zwaną *tukula*, otrzymywaną przy tarciu dwóch kawałków drzewa *lukunga*. Lekkie zabarwienie skóry *tukulą* jest bardzo w modzie. Kobiety tatuują swoje ciała pokrywając skórę, zwłaszcza na plecach, wzorzystemi figurami geometrycznemi. Mężczyźni tatuują lekko jedynie piersi, lub dokonują w razie niektórych dolegliwości nieznacznych cięć na powierzchni skóry w celach leczniczych.

Mowa Kiyombe, czyli język Majombów, jest jednem z najbogatszych, chociaż zarazem i najtrudniejszych narzeczy tamtejszych. Naukowo opracowaną została przez O. Dellery, w wydanej przez niego gramatyce języka Kiyombe, która pojawiła się najpierw w przeglądzie „Anthropos“, w Wiedniu. Majombi podlegają od lat wielu zwierzchności białych. Żywiąc pewną nieufność i cichą niechęć względem obcych, poddają im się jednak z obawy i z wewnętrznego poczucia swojej niższości. Dobrzy z gruntu, o temperamencie żywym, lekkomyślnym, a zarazem zmysłowi i samolubni, umieją być mili, rozumni, uprzejmi, dopóty, dopóki się niczego od nich nie żąda, z chwilą jednak, gdy się najmniejszej od nich zażąda ofiary, narzekają, oburzają się i zacinają w uporze.

Pod względem wiary i obyczajow posiadają dosyć uświadomione pojęcie istnienia jednego Boga i zasadniczych praw przyrodzonych, nie przeszkadza im to jednak w oddawaniu się nizkim gusłom fetyszyzmu i prowadzeniu życia zniewieściałego, kierowanego jedynie popędami naturalnymi. Zimna obojętność, jaką zachowują względem prawd najwznioślejszych i wobec spraw najświętszych jest najpoważniejszą zaporą do ich nawrócenia. Wielożeństwo jest powszechne, natomiast ludożerstwo zgoła nieznane. Obyczaje barbarzyńskie ustają wszędzie, gdzie dotrzeć zdołali biali.

Czyżby wybiła obecnie dla kraju tego godzina łaski? Nie wiemy, tajemnica to Boża. Misyonarze pracują przedewszystkiem nad dziećmi i w nich pokładają nadzieje na przyszłość. Moralność zaznacza się coraz wyraźniej, lecz skutkiem różnych wrogich czynników, wyludniają się tutejsze wioski coraz to bardziej. Czyżby „Majombi“ skazani byli na zniknięcie z powierzchni ziemi? Ratujmy z pomocą Bożą tych, których jeszcze uratować zdołamy! Oby powstało rychło nowe pokolenie chrześcijańskie, dzielne, zdrowe na duchu i ciele, oby wysiłki misyonarzy uwieńczone zostały pomyślnym wynikiem jeszcze tu na ziemi, jeśli taka wola Boża, lecz przedewszystkiem tam w niebie!

Co zaś dotyczy rezultatów pracy dotychczasowej, osądzi je Czcigodna Pani z listu następnego. Kończąc niniejszy, polecam tak siebie, jak i dzieła nasze skutecznym Jej modlitwom, jako też i modłom gorliwych Jej współpracowników i współpracowniczek. Oby św. Piotr Klawer wyjednał Czcigodnej Pani łaskę zdziałania wiele jeszcze dobrego, poganom zaś i neofitom łaskę wiary i wytrwałości w dobrem, a misyonarzom ducha poświęcenia i ofiary.

Drobne wiadomości misyjne.

Mgr. Simon, Wik. apost. kraju Namaqua, pisze:

„Istnieje mały zakątek w kraju Namaqua, gdzie zebrała się z biegiem lat ostatnich mała garstka nawróconych. Odwiedzamy ich i pouczamy regularnie każdej niedzieli, lecz nie wystarcza to już dzisiaj. Trzeba koniecznie zbudować kościół i szkołę i osiedlić tam kapłana. Tego właśnie domagają się gorąco ci gorliwi chrześcijanie. Zmuszeni jesteśmy odbywać obecnie zebrania nasze pod gołem niebem, ale tego rodzaju służba Boża może być tylko prowizoryczną, zresztą staje nam często na przeszkodzie niepogoda, w czasie której niepodobna odprawiać Mszy św. i udzielać św. Sakramentów. Cóż tedy począć? Liczymy na Opatrzność!...“

Mgr. Prézeau, Wik. apost. z Szire, donosi:

„Rozpoczęliśmy budowę kościoła w St. Maria de Nzama, lecz zmuszeni byliśmy zaprzestać, doszedł-

szy do 75 funtów szterl. wydatków, gdyż trzebaby nam ich jeszcze o 150 więcej. A gdy to dzieło będzie raz ukończone, trzebaby pomyśleć o kościele św. Józefa w Nguludi. Założyliśmy świeżo czwartą stacyę misyjną św. Piotra z Utalé."

Misya Najśw. P. Różańcowej w wikaryacie apostolskim Sierra Leone. W. O. Scheer, ze Zgrom. Ojców od Ducha św., pisze:

„Założona w r. 1904 misya moja, doczekała się obecnie chwili bujnego rozwoju, w której potrzebowałaby pewniejszej podstawy. Musieliśmy się dotychczas zadawalniać chatami skleconemi z ziemi, pokrytemi dachami z liści palmowych. Lecz kto żył kiedykolwiek w klimacie afrykańskim, ten zna ujemne strony tego rodzaju domostwa, zwłaszcza w czasie deszczów ulewnych i wichrów. Przez lat blizko cztery zdany byłem na ich łaskę i niełaskę, jednakże te cztery lata wykazały dostatecznie, że obrana miejscowość odpowiada doskonale wszelkim warunkom potrzebnym do założenia misyi stałej. To też nasz Wikaryusz apostolski zadecydował tutaj budowę domu porządnego i trwałego. Zgromadziliśmy już znaczną część materyałów budowlanych. Kamieni dostarczyła nam jedna z naszych posiadłości, drzewo do robót ciesielskich wycięte zostało z naszych lasów. Pozostaje jeszcze do zamówienia w Freetown wapno. cement i czarna blacha falista. Koszta budowy wyniosą co najmniej 5.000 franków. Jest to wielki ciężar dla naszej młodej misyi! Dobre usposobienie krajowców, jako też znaczna ich liczba, pozwala się spodziewać w niedalekiej przyszłości, iż Kościół św. doczeka się w tym kraju „Mendi" licznego i pobożnego zastępu wiernych. Gdy tylko ukaże się misyonarz w jednej z tutejszych wsi, gromadzą się dokoła niego młodzi i starzy, współzawodnicząc w nauce modlitw i prawd Wiary świętej. Jednakże nawracanie adeptów postępuje powoli i z trudnością i wymaga szczególnej pomocy łaski Bożej, gdyż uprawiają wielożeństwo i wiele praktyk zabobonnych.

Jak na teraz, najwdzięczniejsze i najbardziej owocodajne zadanie nasze polega na odszukiwaniu chorych i umierających, celem niesienia im, obok dobroczynnych lekarstw dla ciała, pomocy nadnaturalnej dla duszy."

Kronika Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

Rzym. *Dnia 22 września.* — J. E. X. Biskup Vieter, z Kongregacyi Pallotynów, Wikaryusz apostolski Kamerunu, przebywa w Rzymie z powodu Kapituły generalnej i wyboru nowego Generała. Chciał przy tej sposobności odwiedzić Gen. Kierowniczkę, lecz jej jeszcze nie zastał. Jego Ekscellencya przyniósł pocieszające wieści o postępach w swojej misyi.

Dnia 4 października. — Z niemiecką pielgrzymką przybył do Rzymu X. Biskup Dr Hubert Voss z Osnabrücka. Nie zastawszy Generalnej Kierowniczki poleca nam przesłać jej swoje serdeczne pozdrowienie.

Filia w Bozen. *Dnia 26 września.* — W czasie swego czterodniowego pobytu przemawiała Gener. Kierowniczka na

zebraniu zelatorek. Mimo, że przebywała tak krótko, natchnęła jednak wszystkich tutejszych członków nowym zapałem i gorliwością do pracy misyjnej.

Augsburg. Od *4 do 6 października* trwała tu wystawa aparatów i szat kościelnych, urządzona przez Sodalicyę św. Piotra Klawera w sali przemysłu artystycznego. Zwiedzana licznie, zadowolniła widzów i dała obraz praktycznych wyników pracy dla Afryki.

Filia w Monachium. *Dnia 10 października.* — Pierwsze zebranie miesięczne w sali tutejszego biura.

Filia w Krakowie. *Dnia 15 listopada.* — Konferencye miesięczne we filii rozpoczął łaskawie X. Rektor Barglewski T. J. W podniosłych i zapalających słowach pragnął Czcig. Mowca zachęcić zebranych do pracy dla dusz, dla zbawienia których sam Bóg stał się człowiekiem. Aby pracy apostolskiej zapewnić powodzenie potrzeba koniecznie modlitwy i dlatego w dalszym ciągu przemówienia usłyszały przyjaciółki misyj przepiękne pouczenie o sposobach najlepszej i najskuteczniejszej modlitwy.

Do wszystkich!

Ci, którzy znają misye i ich potrzeby, a tembardziej ci, którzy pragną rozszerzenia chwały Bożej na ziemi wiedzą, że misye potrzebują ustawicznej pomocy, aby mogły spełnić swoje zadanie.

Pomoc ta musi mieć liczne źródła i silnym płynąć strumieniem, gdyż teren misyjny jest rozległy i długiej wymaga uprawy.

A kto ma nieść pomoc misyom?

Wszyscy katolicy, bo wszyscy są obowiązani do pracy dla chwały Bożej i dla zbawienia dusz, — lecz abyśmy mogli pracować dla tego wzniosłego celu, musimy go najpierw pokochać, a miłość nie przyjdzie bez poznania. Poznajmy sprawę misyj katolickich w Afryce przez czytanie o nich. Czytajmy *Echo z Afryki* sami i dajmy je do czytania dzieciom naszym i służbie. Niech nas zainteresuje sprawa rozszerzenia Królestwa Bożego na ziemi, abyśmy w tym nadchodzącym roku mogli się do tego sami gorliwie przyczynić i innych do apostolstwa pobudzić.

ODCINEK.

ABISSYNIA I ABISSYŃCZYCY.

CZARNE KWIATY.

Różne szczegóły o Abissynii i jej mieszkańcach.

Przez O. Józefa Baetmann'a, misyonarza Lazarystę.

Czarne kwiaty. Tytuł ten wskazuje wyraźnie, że nie mam zamiaru porywać się na historyę tego kraju we właściwem słowa znaczeniu. Najpierw, jestem po temu zbyt młody, ledwie co przybyłem, praktyka życiowa, znajomość języka, długie doświadczenie... są to struny nie dostające mej lirze. A potem... grzebać, szperać w starych księgach, odcyfrowywać ich wyblakłe karty, rozwijać aż do końca nić jednej idei zasadniczej, odszukiwać ślady plemion i ludów przez ciemną i splątaną gąszcz dwudziestu wieków, to byłoby zbyt długo! Będę więc tylko obrywał listki z kwiatów i rozsypywał je pod waszemi stopami, kochani Czytelnicy — będzie to mniej trudnem dla mnie, a Was może więcej zajmie, aniżeli historya dynastyi, kręte ścieżki schyzmy i nieustanne zmiany „credo", które każdy cesarz narzuca swym poddanym... Zamiast więc dat, dyssertacyi krytycznych, starych rękopisów, ofiaruję Wam kwiaty, to jest przesunę przed Waszemi oczyma, niby w latarni czarnoksiężkiej, szereg obrazów, zdjętych żywcem, pełnych ruchu, drgających życiem, rzeczywistych, wymownych, czysto abissyńskich... Jest to tem łatwiejsze, że gdy się przybędzie po raz pierwszy do podobnego kraju, wszystko uderza, wszystko zaciekawia! Pozostawiło się tak daleko za sobą nawyknienia starej Europy, wyrafinowane obyczaje świata. Znajdujemy tu ludzi nawpoł dzikich, prawie dzieci, czasem dzieci straszne! Natury pierwotne, silnie tkwiące w przeszłości... dziś niemal na tym samym stopniu rozwoju, co 1500 lat temu!... Rozumiecie, że gdy się ujrzy po raz pierwszy te głowy czarne, o zębach mleczno-białych, z włosami wysmarowanemi jełkiem masłem... gdy się po raz pierwszy skosztuje tego masła o przenikliwym zapachu, tego gęstego piwa i czerwonego pieprzu, który pali w gardle przez cztery godziny, gdy się zapozna po raz pierwszy z okropnemi potrawami tego kraju: mąką z lnu, zupą ze starego masła... Wszystko to uderzyć musi żywo i pozostawić wspomnienie, które nie prędko się zatrze.

Po kilku latach apostolstwa starość, która przychodzi szybko w naszem życiu afrykańskiem, przyćmiewa nieco ten blask poezyi, jaki przybywając, rzucaliśmy na wszystko, nawet na rzeczy najmniej zdolne stać się poetycznemi. A potem starość przynosi czasem lody zwątpień, ruiny, rozczarowania, zawody... zamiast kipiących fal życia, zapału, ułudy... Trzeba w życiu, zwłaszcza w naszem, czegoś, coby poruszyło weselszą nutę w duszy młodych. Nie znaczy to, abym miał puścić cugle mojej włóczęgowskiej imaginacyi... Nie, opowiem Wam to, co widziałem, na własne oczy widziałem, co się nazywa widziałem! A co do szczegółów, nie będących owocem moich spostrzeżeń i studyów, zaczerpnąłem je od weteranów, starych bojowników, stojących już od lat całych na posterunku, starych wiarusów, o twarzy ogorzałej od słońca, o ciele skurczonem od gorączki i reumatyzmu, o rękach grubych i chropowatych, których żółta sutanna, świecąca łatami od góry do dołu, liczy już wiele wiosen!...

A więc zgoda, ofiaruję Wam kwiaty. A przytem kwiaty te będą czarne, dla tej prostej przyczyny, że je zerwałem w kraju czarnych. Ojcowie pustyni, chcąc skarykaturować dyabła, mówili, że jest czarnym, jak Etyopczyk!... A w biblii czytamy, iż równie jest trudnem Żydom czynić dobrze, jak Etyopczykowi zmienić barwę swej skóry!... To nie wiele, ale to mi wystarcza i upoważnia mnie nazwać kwiaty moje czarnymi. A dla pełności bukietu, będę mógł dodać jeszcze niektóre inne: kwiaty czerwone, barwy krwi — i kwiaty białe... gdyż w czarnych piersiach naszych Abissyńczyków kryje się czasem dusza bardzo biała... jak mały kwiatek zatajony w trawie, który nie mówiąc słówka, zdradza swą obecność samą tylko wonią... A teraz małe „kwiatki czarne“ lećcie na wszystkie wiatry! Lećcie powiedzieć drogim przyjaciołom z Europy, dobrodziejom Afryki, wszystkim, którzy kochają misyonarzy i modlą się za nich... lećcie im powiedzieć, że z wysokości dzikich zrębów skalnych, gdzie go zagnały i uwięziły prześladowania, biedny, lichy misyonarz poświęca swe chwile wolne zbawieniu swych „braci“ stamtąd, nie zapominając także ofiarowania za nich swych modlitw i drobnych utrapień. Tak, kwiatki moje czarne, lećcie na wszystkie wiatry, lećcie wypowiedzieć tym, co was czytać będą, moją wdzięczność i najserdeczniejszą podziękę.

Ale potrzeba trochę ładu, trochę symetryi, trochę formy, trochę sztuki w układaniu mego bukietu — i dlatego pozwolę sobie wskazać Wam odrazu główne linie tej drobnej pracy:

1. Najpierw wypada, abym Wam przedstawił osoby, od małego aniołka, co szczebiocze, pochylony na plecach swej matki, aż do sędziwego patryarchy, który, drapując się maje-

statycznie w fałdy swej togi, zasiada u opustoszałego ogniska, oczekując śmierci.

2. Potem wejdę w szczegóły życia prywatnego i rodzinnego, wprowadzę Was do zadymionych *gendżis*, gdzie się nie można nawet wyprostować i gdzie tłoczą się razem mężczyźni, kobiety, dzieci, krowy, kozy, pchły, pluskwy, skorpiony i całe miryady innych lokatorów, nie opłacających nigdy komornego, wprost przeciwnie!

3. Zapoznamy się potem z życiem publicznem, pójdziemy w odwiedziny do „Rasów", opiszemy nawet ciekawe przyjęcia u małych królików prowincyonalnych; zadmiemy w trąbkę i mówić będziemy o walkach i potyczkach.

4. Zbadawszy ciało, zapukamy do drzwi duszy: zapoznamy się z życiem religijnem.

5. Wreszcie na zakończenie powiem Wam parę słów o misyi i misyonarzach.

(C. d. n.).

ODPUST ZUPEŁNY,

których w styczniu dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

Dnia 6 stycznia, w uroczystość ŚŚ. Trzech Króli.

Warunek: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

Zamknięcie redakcyi 15 listopada 1909.

Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.
Redaktor odpowiedzialny: *Zofia Popielówna.*

W Krakowie. — Czcionkami drukarni „Czasu."